Nr 38

ROZMAITOŚCI Warszawskie.

ŚRODA 13 MAJA. — DODATEK DO KORRESPONDENTA. — ROKU 1835.

SALVATOR ROSA.

(Ciąg dalszy.)

Salvator ozdrowiawszy, malował bitwy u Falconiego; lecz Espagnolet i kilku ulubieńców jego zagradzało przyszłość każdemu nieznajomemu jenijuszowi. Cierpienia duszy zwątliły siły młodego artysty; stał się niezdolnym do ciągłej pracy. Wówczas nastąpiło opuszczenie rodzicielskiego domu, które stało się dla niego najstraszliwszem ze wszystkich całego życia doświadczeń. Naprzód Julija przymuszoną była dwóch najmłodszych synów poruczyć obcej litości, młodsza siostra została zakonnicą, a Cecylija i matka schroniły się do Paola Grecco. Nieszczęśliwy, uderzając się z rozpaczy w czoło, błądził po nędznej chacie, w której osiadły samotność i milczenie. Wszystkie łzy, które matka dom opuszczając wylała, pałające spadły na jego serce. Zgrzybiały ojciec zdołał ich wszystkich wyżywić, a on, on w kwiecie młodości, nie mógł tego dokazać! Podły! podły! powtarzał sobie nie raz, a jednak nie mógł przekonać własnego serca.

— Zwaryjuję, jeźli tu pozostanę, — rzekł nakoniec do Cecylii. — Muszę wrócić do Rzymu; muszę znaleźć lub szczęście dla was wszystkich, lub śmierć. Widzieć matkę osiwiałą opuszczającą dom, w którym wszystkie swe dzieci na świat wydała, w którym spodziewała się spokojnie zamknąć oczy, ach! jest-to okropność, która domierzyła wszystkich moich cierpień, która niczem niezagojoną ranę sercu mojemu zadała. Matka, ty moja Cecylijo, którą tak serdecznie kocham, wygnane niedostatkiem, chronić się musicie do biednego starca, dla którego życie było tylko goryczą i zawiedzioną nadzieją; to zbytek okropności! Płakałem! Odtąd głowa moja płonie!... Cecylijo, powrócę do Renella bogatym, lub nigdy nie powrócę!... — Cecylija zaprowadziła go do nóg matki; odebrał błogosławieństwo drżącym wyrzeczone głosem, śród łez rzewliwych.

— Cóż się z tobą stanie? — mówiła rozpaczająca matka.

— Uspokójcie się, — rozczulony odpowiedział Salvator; — tym razem będę miał przyjaciela w Rzymie. Girolamo Mercuri, szkolny mój towarzyszysz w kolegijum Somaska, zarządza teraz domem Kardynała Brancaccia; ofiaruje mi schronienie przy szlachetnym swoim opiekunie; przyjmę je.

— Niechaj Bóg czuwa nad tobą, synu!

— Spoglądaj często w niebo, — rzekła Cecylija, — tam jest ojciec.

Zaledwie kilka dni upłynęło, już Salvator był znowu w Rzymie.

* * *

Opuśćmy długi lat przeciąg, i bądźmy przytomni scenie, różnej daleko od tych, które nas poprzednio wzruszyły. Odbywa się ona w Rzymie.

Wiosna zdobiła kwiatami chatę nędzarza; stary zakonnik, którego łagodne i szanowne oblicze tak zgodne było ze świątobliwem jego powołaniem, wdzierał się z trudnością, przy pomocy kija, na górę Trójcy Świętej. Często pytał przechodzących, zatrzymał się nakoniec przed domem, wspaniałym przyozdobionym przysionkiem. Odetchnął, obtarł

kilkakrotnie potem trudu oblane czoło, otrząsnął z pyłu nogi i wszedł.

W sali tego wytwornego pomieszkania zgromadzonych było kilkunastu biesiadników; twarze ich nosiły świetne piętno namiętnych synów Italii. W pośrodku nich odznaczała się twarz tchnąca dowcipem i oryginalnością; szydercze żarty iskrzyły się na jej ustach, a po chwili płynęła z nich urocza, wspaniała poezyja, przepełniająca jej duszę. Wówczas tęskna powaga rozlewała się po jej rysach, przebijała w głosie. Widno było, iż wielkie nieszczęścia zakłóciły to życie; bądź czy poeta przygrywał sobie na lutni, bądź czy palce jego błądziły po klawiszach, smutne tylko wydobywał dźwięki. Lecz skoro spojrzenie jego inne napotkało spojrzenie, znowu się unosił płochym, szalonym zapałem.

Rozrządzenie biesiady przedstawiało widok nadzwyczajnej jednostajności: wszystkie potrawy miały pozór pasztetów. Rzecz godna podziwienia: pasztety, same tylko pasztety! Potem następowało samo pieczyste i salaty.... Zdjąwszy pokrywę, wszystko było najwyśmienitsze, urozmaicone, i najwykwintniejszy gust zadowalało. Dziwnem także było przybranie sali; tysiączne krzewy giętkiemi uploty przyodziewały zimne ściany; pod nogami rozciełał się miękki kobierzec ze mchu i ziół woniących; za każdem stąpieniem wyziewały woń fijołki, hijacynty; a złoty pierwiosnek i różowe stokrocie wątłe chyliły główki.

Do tej sali wszedł zakonnik.

— Pokój temu domowi, — rzekł schylając szanowne czoło.

Powstali biesiadnicy. Jeden z nich, poeta improwizator, wydał krzyk głębokiej radości, i blady, pomieszany, rzucił się na szyję zakonnika, który przycisnął go z zapałem do piersi; imiona syna, ojca, zadrżały w ich sercach. Gdy pierwsze uspokoiło się wzruszenie, starzec zasiadł do stołu; jadł mało, nie przyjął wina, i z tęskną rozkoszą przyglądał się temu, który z takiem upojeniem szczęścia go przywitał. Po wieczerzy rozeszli się biesiadnicy, a Salvator Rosa, w pełni męzkiego wieku, stał wobec starego przyjaciela.

— Nie byłem jeszcze w Renella, — rzekł zakonnik; — od ośmiu dni dopiero przybyłem z Indyi. Najpierwej zdałem sprawę Przełożonym, potem ciebie widzieć pragnąłem. Mówże mi o matce, o Cecylii, o wszystkich, których kochałeś.

— Śmierć nawidziła dom mojego ojca.

— I kogóż ugodziła? — spytał zakonnik.

— Najpierwej matkę, potem Cecyliję, — odpowiedział Salvator. I nieruchomem, ponurem okiem patrzał na zakonnika. Potem dodał: — Nie odebrałem ostatniego błogosławieństwa matki; umierała, kiedym ja walczył tutaj z nędzą. Syn wyrodny, nie śmiałem żebrać, aby dostać się do niej! Mówiłem sobie, że nie mam obuwia, jak gdyby nie poznała mnie zarówno i ze skrwawionemi nogami. Szczęście zapóźno przybyło! ojcze! już grób pochłonął wszystko, com ukochał.

— A Francanzani i żona jego? — spytał zakonnik, nie bez wahania.

— Oboje umarli! — odpowiedział Salvator.

— Oboje! — powtórzył kapłan i złożył ręce.

— Francanzani zawleczony do więzienia, zginął haniebnie; rozpacz zabiła Luidzię.

Długie nastąpiło milczenie. Kapłan się odezwał:

— I komuż mam wierzyć, synu?... Wyrazy twoje są głosem strapienia, a jednak Rzym wychwala wspaniałość biesiad twoich; ja sam, przed chwilą, widziałem puhary kwiatami uwieńczone, i radość na wszystkich jaśniejącą czołach.

— Rzym prawdę mówi, ojcze; lecz i ja także prawdę mówię. O gdybyś wiedział, jak wielki smutek i zniechęcenie ogarnęły mą duszę! gdybyś wiedział, jak dotkliwą ranę pozostawiły w niej wspomnienia, litowałbyś się nade mną, głęboko litował! Jestem teraz bogaty, imię moje wzbudza podziwienie; lecz ileż mię dobra te kosztowały!... — Przysunął swe krzesło do zakonnika; gorycz przebijała się w jego głosie. Opisawszy pierwszy pobyt w Rzymie i pobyt do Renella, w te słowa mówił:

— Gdym wrócił do Rzymu, z rozpaczą w sercu przyjąłem jako dobrodziejstwo schronienie w pałacu Kardynała Brancaccia. Często spotykał mnie, nie wiedząc kto jestem, i najzupełniejszą tylko okazywał mi obojętność; przechodziłem obok niego bardziej wzgardzony, bardziej nieznany, niżeli ostatni ze służących.... Nakoniec w Viterbo poznał kto jestem. Ozdabiałem kościół *Śmierci* obrazem Świętego Tomasza, kładącego palec w ranę Chrystusa; pochwalono wykonanie przedmiotu. Opuściłem Viterbo; zbyt jestem nieugięty, zbyt prostą

tchnę surowością, abym zdołał się nakłonić do drobiazgowych wymagań świata. Ujrzałem znowu Neapol, i jak zwykle znowu tam znalazłem pogardę; jeden tylko Aniello Falcone uprzejmie mnie przyjął. Czegóż mógłem dokazać w Neapolu? rozpacz trawiła tam Dominikena; a ja, nieszczęsny, czułem się zgromiony pogardą. *Prometeusz* (*) winien swą piękność okropności mego położenia; posłałem go do Rzymu. Ojcze, — dodał Salvator, — własną-to zgłębiłem duszę, aby wyrazić z całą mocą boleść Prometeusza, owe boleści samotne, których nikt nie pociesza, które powolnie zabijają. I cóż! oto nieprzyjaciele moi okrzyknęli, żem nie był jego twórcą. Popchniony potęgą, której oprzeć się nie zdołałem, po trzeci raz wróciłem do Rzymu. Podobnież jak w Neapolu, męczarnie obrażonej pychy owładnęły moje życie, narzucając mi szyderstwo w zamian za złudzenia nadziei. I cóż chcesz? powabne utwory Albana, uczone, rozkosznym pokojem tchnące kompozycyje Poussina, ślepiące krajowidoki Claude-Lorraina, nienaśladowalny urok jego odcieni, blask jego słońca, lekkość, ruchomość, miękkość jego zielonych zacieni, wszystko powstawało przeciwko mnie. Ci trzej ludzie bez żadnych podstępów, z których ostatni umysłowego wykształcenia nawet nie posiada, nakazywali podziwienie współczesnym; wszyscy trzej mieli tylko prawo zachwycać Rzymian. Ja nie miałem owych świeżych natchnień; ojcze, co tylko wyszło z pod mego pędzla, nosiło cechę goryczy mej duszy. Dobroczynna i rozkoszą strojna natura, nie uśmiechała się bynajmniej mojej młodości. W Renella, huk wściekłych wodospadów towarzyszył dźwiękom lutni. Wezuwijusz oświecał codziennie odblaskiem czerwonych płomieni domostwo, przytułek wszelkiego cierpienia. Rzadko nogi moje na miękkiej wypoczęły murawie; przywykły deptać ostre piaski nadbrzeża,—gdzie rybitw w zawód szedł z bałwanami, ciężkie i obszerne rozwijając skrzydła, — w upojeniu dzikiej rozkoszy drapały się na szczyty najeżone skał nagich. Oddychałem ognistem tchnieniem wulkanu, lub przenikliwem powietrzem samotnych Abruzzów. Wiadomo ci, że o dziecinne ucho obijały się jedynie wyrzuty, lub jęki najokropniejszych cierpień. Srogie te próby trawiły me serce, traciło ono codziennie szczęśliwe wzruszenia i ufność młodzieńczą; malowałem pożerany gorączką.

Tu głos jego stał się przerywany i pogardliwy przybrał wyraz.

— Czy ci powiedziano, ojcze, jak nędznych musiałem zażyć sposobów, aby wydobyć się z ukrycia, które zagrażało strawieniem mego życia i jenijuszu? Nie; więc dowiedz się ode mnie; to aż litość bierze. Widziałeś karnawał rzymski; otóż-to w owych dniach szaleństwa założyłem węgielny kamień mojej fortuny. Wóz, który ciągnęły złoto-rogie woły, zatrzymywał się kolejno po wszystkich rynkach nieśmiertelnej stolicy; na nim stojąc, w roli *Coviella* (*), z twarzą okrytą maską o purpurowych policzkach, nosem i czołem czarnym, przybrany w kurtkę i pantalony aksamitne, ozdobne srebrnemi guziki i bogatym kaftanem, człowiek jakiś, pod imieniem *Formica*, przywabiał ciekawe tłumy. Improwizował akompanijując na lutni, rzucał szyderstwa, wdzięcznie i dowcipnie gorzkie prawił morały. Wszędzie poprzedzały go śmiechy, okrzyki najwyższego zapału. I któż on był? Zdjął nakoniec maskę i ukazał oczom upojonej, zdziwionej tłuszczy oblicze zpotwarzonego twórcy *Prometeusza*. O! wówczas ludzie ci uwierzyli, że mam jenijusz; czy ich nie ubawiłem? Dozwalali umierać z głodu Salvatorowi, malarzowi wielkiemu, wydzierali sobie szarlatana Formica; stał się on ich bożyszczem. Żaden wieczór, żadna uroczystość nie była przyjemną, jeżli jej nie określił Formica swojemi żarty i uszczypliwemi ucinki. Aż nadto poznałem ludzi, szczodrze płaciłem pogardą marne ich oklaski. Na przemian poeta, lutnista, aktor, malarz, nieograniczoną pozyskałem sławę; codziennie zasiewałem nienawiść, i zbierałem obfite żniwo boleści.

— Skądże ta zawziętość ku tobie, — spytał zakonnik.

— Pragnąłem sławy, a nieprzyjaciele mi jej odmawiali.

— A gdyś ją pozyskał, powróciłże pokój do twej duszy, nadałże jej nowe życie?

— Nie, — odpowiedział Salvator; — każdy, każdy z moich obrazów wykryje ci nieskończoną nędzę mojego serca. Gdym przywoływał uśmiech na usta,

(*) W tym obrazie, sępy szarpią wątrobę Prometeusza, przykutego do Kaukazu.

(*) *Coviello*, jedna ze siedmiu charakterystycznych masek karnawału Rzymskiego.

byłem tylko aktorem odgrywającym rolę w uroczystości; lecz z pędzlem w ręku, byłem sam sobą, Salvatorem z Renelli, którym wszystkie miotały burze, którego szarpały, gromiły wszystkie namiętności, i uczyniły pogardliwym na kłamliwe rozkosze ziemi. Bardzo jeszcze młody żyłem z rozbójnikami w Abruzzach; w trzydziestym roku walczyłem w szeregach *Zastępu śmierci*, który Falcone utworzył w pomoc śmiałemu Massaniello. Jutro, ojcze, pokażę ci Massaniella; był piękny, lecz bardziej jeszcze waleczny.

To rzekłszy, Salvator sam zaprowadził zakonnika do wspaniałej komnaty.

— Ten przepych, synu, nie zgadza się bynajmniej z moim stanem i nawyknieniem do ubóstwa.

— Gdybym miał skromniejszy pokój, byłbym go tobie ofiarował, — odpowiedział Salvator. — Do jutra, ojcze.

Nazajutrz zaprowadził Salvator zakonnika do swej galeryi, gdzie były obrazy, które zatrzymał dla siebie, lub dotąd jeszcze nie przedał. Pokazał mu obraz wystawiający męża, na twarzy którego moc i śmiałość łączyły się z najgłębszą łagodnością: był-to Massaniello. Dalej starzec przeglądał historyczne obrazy. Ujrzał *Sokratesa*, szczytnego wzniosłą pogardą, niosącego do ust puhar zatruty. *Demokryta*, otoczonego szczątkami śmierci.

(Dokończenie nastąpi.)

POCZĄTEK MODLITWY MOJŻESZA.

Gazety francuzkie dają nam następującą anegdotę o sposobie, w jaki sławna modlitwa *Mojżesza* Rossiniego została ułożoną. Przy każdej reprezentacyi sławnej tej opery, na teatrze Ś. Karola, niezręczność maszynisty psuła w trzecim akcie całe wrażenie pięknej muzyki. W dekoracyi bowiem, przedstawiającej przejście przez morze Czerwone, brzegi morskie ukazywały się zwykle parterowi podniesionemi na kilka stóp nad powierzchnię wody, z lóż zaś widać było małych lazaronów, którzy fale morskie rozdwajali. Publiczność neapolitańska cieszyła się mocno z tych peryjodycznych przygód, śmiała się i całego trzeciego aktu zgoła nie słuchała. Dnia jednego, w wilię nowej reprezentacyi Mojżesza, poeta Totola, autor *libretto* tej opery, wchodzi do Rossiniego, który, jeszcze w łóżku, dawał posłuchanie kilkunastu przyjaciołom. — »Mistrzu! mistrzu! zawołał poeta, ocaliłem trzeci akt!« — »A co też mu zrobiłeś — zapytał kompozytor, przedrzeźniając śmieszny i nadęty sposób mówienia Totola; — śmiać się z nas będą jak i zawsze.« — »Mistrzu! dorobiłem modlitwę, którą Izraelici mają śpiewać przed przejściem morza!« — i wyciągnąwszy z zanadrza ogromny arkusz papieru, podał go Rossiniemu, powtarzając z uśmiechem podczas gdy go czytał: »*Maestro, è lavoro d'un ora!*« — »*E lavoro d'un ora?* rzekł wreszcie zniecierpliwiony kompozytor: »Jeźli napisanie tej modlitwy kosztowało ci godzinę czasu, ja ułożę do niej muzykę za kwadrans!« — To mówiąc, zeskoczył z łóżka, nie ubierając się usiadł za stolik i bez fortepianu nawet, napisał muzykę do modlitwy Mojżesza mniej jak w dziesięć minut, podczas gdy przyjaciele jego toczyli pomiędzy sobą żwawą i głośną rozmowę. — »Otóż masz i muzykę!« rzekł nakoniec poecie, który natychmiast z nią wybiegł. Nazajutrz, na reprezentacyi Mojżesza, pierwszy i drugi akt obudzały zwykłą uwagę. Ale w trzecim, za nadejściem nieszczęśliwej przeprawy, wszyscy gotowali się już do zwykłych żartów i śmiechu, kiedy nagle usłyszano nową aryję: »Dal tuo stellato soglio!« Zadziwiony tą nowością parter zaczął słuchać i poprzestał śmiechów. W chwili zaś, gdy cały lud pada na kolana, powtarzając modlitwę, teatr zabrzmiał najhuczniejszemi oklaski, śród których maszynista spokojnie operacyję z morzem wykonał.

LOGOGRYF.

Mam cztery
Litery.
Moim zwyczajem
Łączyć kraj z krajem.
Daj piątą do tego,
Masz twórcę mego.

SZARADA.

Pierwsze zwrotnie część całego;
Licząc używam drugiego.
Wszystko z blizka
Ciebie ściska,
Aż mnie zachciewa się tego.
